

Z WŁOCH DO WŁOCH

– Lato, centrum Mediolanu, stoję na przystanku autobusowym.

– Uf, jaki upał, prawda?

– I nagle zwraca się do mnie taki niczym niewyróżniający się starszy mężczyzna. A z czym nam się kojarzy staruszek? Z mądrością, z doświadczeniem, zaufaniem, z własnym dziadkiem, więc odpowiadam: tak, straszny upał.

– Ty, skąd jesteś?

– A on do mnie, że och, jaki zbieg okoliczności, że on był w Wenezueli, pracował dwa lata na budowie. I wiesz, kiedy jesteś za granicą i nagle ktoś ci mówi, że zna twój kraj, to automatycznie wywołuje sympatię.

– Nie daję mi życ ten upał, może wejdziemy do kawiarni? Muszę się napić wody.

– Myślę sobie: czemu nie. Siadamy. Widzę, że staruszek chce mnie złapać za rękę.

– Wiesz co, jeśli szukasz pracy, to ja miałbym coś dla ciebie.

– Ja – ciągnie Ismaela – nieświadoma niczego, zabieram rękę i pytam, co to by miała być za praca.

– Nic takiego, widywalibyśmy się od czasu do czasu w hotelu... Nie będę pani penetrował: pogawędzimy sobie nieco i zobaczymy, jak się sprawa rozwinie.

Zanim zaczął się kryzys, Ismaela jeździła do Włoch kilkakrotnie: na wakacje i na kursy. Miała dobrą przyjaciółkę w niewielkiej górskiej miejscowości i dalszą znajomą w Mediolanie. To u tej ostatniej zatrzymała się, by szukać pracy.

– Pamiętam, że przepłakałam cały dzień. Chodziłam po ulicach i ryczałam: co za gówniane miasto, gówniany kraj, co ja tu robię. Jak tak dalej pójdzie, myślałam, wracam do Wenezueli. Bo wszystkie propozycje były właśnie takie: praktycznie wszyscy mężczyźni, jak tylko dowiadawali się, że jestem emigrantką i szukam pracy, proponowali mi prostytutkę.

Nie wytrzymała w Mediolanie. Zadzwoiła do przyjaciółki z Gemona del Friuli i spytała, czy może u niej zostać na jakiś czas. Tam szybko znalazła pracę w lokalnym barze. Jako kelnerka. Proces uznania dyplomu inżynierskiego Ismaeli we Włoszech ciągnie się od przeszło dwóch lat.

– A gdybym nie miała tej możliwości? Jeśliby mi się żołądek przylepiał do kręgosłupa, gdybym nie miała gdzie mieszkać, a jedyną propozycją byłaby prostytutka, zaakceptowałabym? Przecież coś trzeba jeść. Ile dziewczyn w podobnej sytuacji skończyło na ulicy?

Być może nie aż tak wiele: nie aż tak wiele Wenezuelek we Włoszech, bo większość nie przyjeżdża tu sama. Czeka na nie dalsza lub bliższa rodzina.

– Gdy leciałam do Europy – wspomina Ismaela – właściwie wszyscy na pokładzie samolotu mieli podwójne obywatelstwo: wenezuelsko-włoskie, wenezuelsko-hiszpańskie, wenezuelsko-portugalskie. Tylko ja byłam z Wenezueli i znikąd więcej – śmieje się.



Ismaela (druga od lewej) na jednym z kameralnych występów z grupą Yerbabuena w Meridzie

Najpierw podnieśli jej czynsz, dwukrotnie. A potem szybka seria nieszczęśliwych wypadków doprowadziła do tego, że Adriana musiała porzucić studia artystyczne w Valencji, trzecim co do wielkości mieście Wenezueli.

– Znalazłam pracę, ale w tamtym czasie płacono już tak niewiele, że o utrzymaniu się samej w Caracas nie było nawet mowy – opowiada. – Musiałabym w wieku 22 lat znowu zamieszkać z rodzicami, a o tym nie chciałam nawet myśleć.

Adriana nie rozważała emigracji: od zawsze chciała natomiast podróżować i – tak się wydawało – kryzys był doskonałym pretekstem do wyjazdu. Gdy opuszczała Caracas – na rok, jak planowała – nie wiedziała, że nie wróci już nigdy.

– Chciałam ruszyć w stronę Kolumbii, ale kolega namówił mnie na Brazylię – opowiada. – Wyjechaliśmy w styczniu 2015 roku, a on już w marcu zdecydował się na powrót. Pamiętam, że miałam w kieszeni 50 dolarów i ze 100 reali – wówczas około 120 złotych – i zostałam sama. Sama w obcym kraju.

I pojechała dalej: odwiedzała rajskie plaże i pracowała w hotelach i restauracjach. W grudniu miała odłożone 3 000 reali i chciała wrócić do domu: mijał zaplanowany rok w podróży.

– „Wrócić? Do Wenezueli? Chyba zwariowałaś!”, mówiła mi matka, „nie ma co jeść, nie ma lekarstw, wszyscy wyjeżdżają; twoi bracia już są za granicą, a ty chcesz wracać?”.

Poleciała do Meksyku i stamtąd do Hiszpanii, do kuzynów, którzy przyjęli ją i pożyczyli trochę pieniędzy na początek. Nie było problemu z wizą: Adriana ma podwójne obywatelstwo, wenezuelsko-włoskie. Zdecydowała się na Irlandię: mówiło się, że tam o dobrze płatną pracę najłatwiej.

– Nie miałam ze sobą zupełnie nic: tylko mały plecak i dług do spłacenia – wspomina. – To były trudne dni: znowu sama, bez angielskiego, bez pieniędzy, bez ciepłej kurtki, bez telefonu. I do tego klimat: w Irlandii ciągle pada!

Rok później rodzice Adriany również zdecydowali się na wyjazd do Europy.

– Mama wracała z zakupów z pustymi rękami, bo inni, gdy widzieli, że coś niesie, już nie to, że prosili: płakali o jedzenie – opowiada – dzieci, kobiety, mężczyźni... Pod arkadami wokół budynku spało ze dwadzieścia osób. Śmietniki było obłożone: ludzie szukali czegokolwiek jadalnego, i to nie tylko ludzie bezdomni. Coś okropnego – podsumowuje. – A teraz jest jeszcze gorzej.

Rodzice Adriany sprzedali wszystko, co mieli. Tylko mieszkania nikt nie chciał kupić, więc zainstalowali kraty w oknach i drzwiach, bo ktoś mógłby się wprowadzić i – zgodnie z wenezuelskim prawem – przejąć nieużytkowaną nieruchomość. Znajoma rodziny odwiedza apartament co kilka dni, żeby sąsiedzi myśleli, że ktoś tam jeszcze mieszka.

– Przekręcili klucz w drzwiach i pojechali na lotnisko – mówi Adriana – nie sądzili, że będą musieli zaczynać nowe życie w wieku 60 lat. Ale nie widzieli innej możliwości.

Był rok 2017. Siedemdziesiąt lat wcześniej, w 1945 roku, Antonio, dziadek Adriany, uciekał ze zrujnowanych wojną Włoch do prosperującej Wenezueli. W 1949 roku, po miesięcznym rejsie przez ocean, dołączyła do niego babcia, Titina. A wraz z nią cała okolica.

– Po 20 czy 30 latach większość wróciła do Europy – opowiada Adriana. – Dziś miasteczko, z którego pochodzą moi dziadkowie, ma dwie części: stare miasto jest małe, zupełnie nieznaczące. Nowe, znacznie większe, o obszernych, wielopokojowych domach, wybudowano przede wszystkim z pieniędzy przywiezionych z Caracas.

Museo Dell’Emigrazione Italiana w tokańskiej Luce odzwierciedla tę historię pomnożoną przez miliony wyjeżdżających do Brazylii, Argentyny czy Wenezueli. Zamożne dziś Wło-

chy odzyskały swą świetność m.in. dzięki pracy włoskich emigrantów za oceanem.

Jeszcze do niedawna Wenezuela była południowoamerykańskim odpowiednikiem Niemiec czy Szwecji. Cały kontynent obierał kurs na Caracas w poszukiwaniu lepszych warunków życia: wyższych pensji, darmowej edukacji i publicznej służby zdrowia. Zaledwie kilka lat temu wciąż było rzeczą normalną, że kolumbijskie kobiety rodziły dzieci w państwowych szpitalach w Wenezueli: we własnym kraju nie było ich na to stać. Do Wenezueli uciekali tysiącami Chilijczycy prześladowani przez Pinocheta, Argentyńczycy i Urugwajczycy w czasach swoich dyktatur wojskowych z lat 70. i 80. Jeden z popularnych memów, które zaczęły krążyć w sieci wraz z wybuchem nastrojów antywenezuelskich w krajach andyjskich, głosi:

W Wenezueli fryzjerki były z Dominikany, a kierowcy z Kolumbii. Ubrania sprzedawali Peruwiańczycy i Ekwadorczycy, a warzywa – Portugalczycy. Szewcem był Arab lub Włoch, lekarzem – Kubańczyk. Kawiarnię prowadził Hiszpan, Chińczyk – restaurację lub sklepik na rogu, a Haitańczycy rozwozili lody i słodycze z kokosa. Żyliśmy wszyscy razem, w pokoju, a o terminie *ksenofobia* dowiedziałem się dopiero teraz, gdy wyjechałem za granicę.

„W Peru o tym pamiętamy”, oświadczył prasie Eduardo Sevilla, zwierzchnik peruwiańskiego biura migracyjnego, pytany o powody specjalnych ułatwień administracyjnych dla wenezuelskich emigrantów. To dla nich w 2016 roku wprowadzono tzw. kartę PTP (*Permiso Temporal de Permanencia*, z

hiszp. Czasowe Pozwolenie na Pobyt). Dokument umożliwia roczny pobyt w kraju i można go uzyskać nawet na podstawie nieaktualnego dowodu osobistego lub paszportu.

Do niedawna w Wenezueli żyło przeszło 100 tys. peruwiańskich emigrantów. Dziś część z 600 tys. Wenezuelczyków w Peru to potomkowie Peruwiańczyków, którzy wyjeżdżali do Wenezueli w latach 70. Różnica jest taka, że dzisiejszy stan gospodarki Peru, Ekwadoru czy Kolumbii to nie to samo, co wenezuelski *boom* naftowy ostatnich dziesięcioleci. Widać to choćby po infrastrukturze. To prawda: w dobie kryzysu, z braku części zamiennych do autobusów, transport miejski w Wenezueli przejmują ciężarówki, na których ludzie jeżdżą na stojąco bez żadnego zabezpieczenia. Ale trzeba pamiętać, że np. w niektórych regionach Ameryki Środkowej takie obrazki widzi się na co dzień, chociaż o żadnym kryzysie nie ma mowy. Systemu metra, jakim dysponuje Caracas – 5 linii, 50 stacji, 4 kolejki gondolowe wożące pasażerów do dzielnic położonych w wyższych partiach miasta – mogłoby pozazdrościć wiele stolic Ameryki Łacińskiej czy Europy Środkowej. Zdanie „byliśmy szczęśliwi i o tym nie wiedzieliśmy” powtarza się w rozmowach jak mantra.

– Gdy wyjeżdżałam z Wenezueli, zaczynało brakować żywności: mleka, kawy, cukru – mówi Ganesha z Cumany na wschodzie kraju – ale owszem: miałam własny samochód, zarabiałam dobrze.

W Quito młoda lekarka żyje bardzo skromnie: wspólnie z narzeczonym zarabiają dokładnie tyle, by opłacić wynajem mieszkania i kupić coś do jedzenia.

– To już trzy lata w Ekwadorze – wylicza – a jeszcze nie osiągnęliśmy stabilności finansowej: takiej, by móc coś zaoszczędzić czy wyjść po pracy do kina.

Ganesha wyjechała z kraju zaraz po studiach. Żałuje, bo dopiero po wyjeździe zdała sobie sprawę, że na emigracji o rozwój w jej zawodzie nie będzie łatwo.

– W Wenezueli lekarze ogólni niemal nie istnieją – opowiada.
– Nie robić specjalizacji to jakby zakończyć edukację na szkole średniej. W Ekwadorze jest na odwrót: trudno o jakiegokolwiek specjalistę, bo uniwersytet w Quito przyjmuje na specjalizację zaledwie 20 osób rocznie.



Adriana, wnuczka włoskich emigrantów